

Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 13.

WARSZAWA, 19 PAŹDZIERNIKA 1930 R.

CENA 50 GROSZY



Castes i Bellonte nowi zwycięscy Atlantyku, którym pierwszym udało się na samolocie „Znak zapytania” przelecieć z Europy do Ameryki.

Na ilustracji widzimy pożegnanie lotników przed rozpoczęciem zwycięskiego lotu.

OD REDAKCJI

Zmiana lokalu redakcyjnego i związane z tem trudności techniczne uniemożliwiły nam rozpoczęcie wydawnictwa bezpośrednio po wakacjach. Wznawiamy je dopiero dziś. Wszystkim tym, którzy listami swemi dopytywali się o los „Sternika“ dziękujemy za pamięć.

Jednocześnie możemy zakomunikować, że odtąd pismo nasze wychodzić będzie jako tygodnik tak, że co sobotę dojdzie do waszych rąk numer „Sternika“. Będzie on zawierał mniej stron niż numer obecny, ale tylko od Was zależy, aby w przyszłości polepszyła się szata zewnętrzna pisma i zwiększyła jego objętość. Liczymy na Was, Przyjaciele „Sternika“.

POKOLENIE CZYNU

Historja uczy nas, jak dalece postęp w dziedzinie kultury materialnej, nowe zdobycze techniczne, nowe odkrycia itp. wpływały na przemianę warunków życia, zmiana zaś warunków życia przetwarzała zupełnie psychikę jednostek i społeczeństw. Dzieje ostatnich kilkunastu lat, kiedy warunki życia zmieniają się niemal z każdym dniem, są wybitnym przykładem tego, jak dalece odziaływa to na psychikę ludzi. Motor spaliny, radjo, kino — to czynniki, które nietylko udogodniły nam nasze życie materialne, ale to czynniki niemałych przemian duchowych, jakie w każdym się dokonały.

Powodów do przemian psychicznych było w ostatnim dwudziestoleciu tak wiele, że społeczeństwa europejskie zmieniają coraz bardziej swoje fizjognomie. Te przemiany wewnętrzne wywołują konieczność zmiany starych przeżytych form i mniej lub więcej szczęśliwe szukanie nowych, stąd kryzysy parlamentarne, zmiany konstytucyj, rewolucje, czy dyktatury. Całe zastępy uczonych badają te zjawiska, i całe tomy możnaby o tem pisać — zagadnienia to trudne i skomplikowane.

Kiedy jednak dość powierzchownie nawet zastanówimy się nad współczesną przemianą psychiki, niewątpliwie zobaczymy jedno zjawisko — kryzys słowa. Słowo, ten powszechny dawniej oręż walki, słowo ten miernik wartości człowieka, to słowo przeżyło się nam dzisiaj. Może na zachodzie przeżyło się ono dawniej, my jednak przed wojną byliśmy w ogromnej większości ludźmi słowa. Może zrobiła to niewola, która krępowała każdy czyn i zostawiała nam słowo, jako jedyne czasem narzędzie pracy, może mieliśmy do tego słowa większe niż inni zamiłowanie, nie wiem. Takich jednak, co umieli tylko gadać było jednak niestety znacznie zawiele. Dziś do ludzi, którzy gadanie uważają za pracę czujemy tylko wstręt. My, młode pokolenie, jesteśmy już inni, jesteśmy i musimy być ludźmi czynu.

Coprawda nie jesteśmy pierwsi. Walka z bałamutnym gadulstwem i częzą frazeologią została podjęta jeszcze przed wojną. Podjął ją przede wszystkim Marszałek Piłsudski, przeciwstawiając patryjotycznym frazesom konkretny czyn tworzenia polskiej siły zbrojnej. Z pośród rzesz ludzi słowa umiał zgromadzić zastępy ludzi czynu, umiał niejedną psychikę przetworzyć tak, że przywódcy akademickiego wiecowa-

nia szli na błotniste łąki, aby tam ćwiczyć „powstań, padnij“. Wojna nauczyła ludzi wiele. Jeżeli dziś mamy państwo, które może się szczycić dorobkiem swej dziesięcioletniej pracy, to tylko dlatego, że ostatnie lata z wielu ludzi słowa zrobiły ludzi czynu. Port w Gdyni, rozwój dróg bitych, kolei i wiele innych rzeczy są tego najlepszym dowodem.

Tempo dzisiejszego życia, niesłychane skomplikowanie aparatu państwowego sprawiły, że słowa należy zredukować do minimum. Ludzie, których jedyną formą pracy są zebrania i wygłaszania przemówień, są dzisiaj przykrym przeżytkiem. Stąd niechęć do parlamentarnych rządów w większości państw współczesnych, stąd pragnienie rządów silnej ręki u większości ludzi.

Epoka czynu musi bowiem mieć inne formy zależności między ludźmi niż epoka słowa. Rządy kolegjalne muszą ustąpić hierarchji władzy, odpowiedzialność zbiorowa — odpowiedzialności jednostkowej. Pomyślcieź tylko, ile czasu tracili dawniej ludzie na zebrania, na omawianie wszystkich szczegółów sprawy, na uzgadnianie każdego drobiazgu. Doprowadzało to do tego, że na realizowanie wygłaszanych tam myśli nie było już czasu, a zato ilość odbytych posiedzeń uważana była za wykładnik pracy. Dzisiejsze tempo życia musi to zmienić do gruntu. W każdej dziedzinie pracy społecznej musi być tak, jak w pracy zawodowej, ścisła hierchja, hierachja oparta na istotnych wartościach. Podział pracy i powierzenie odpowiedzialności jednostkom — oto jedynie możliwa forma pracy naszego pokolenia.

Jesteśmy dziś tem młodem pokoleniem Polski. Mamy niemniejsze niż nasi poprzednicy ambicje odegrania wielkiej roli w państwie. Chcemy naszą pracą doprowadzić Polskę do wielkiej potęgi. Musimy być jeszcze lepsi niż nasi poprzednicy, każde bowiem nowe pokolenie musi być lepsze od poprzedniego, jeżeli idziemy po drodze postępu. Te dążenia stawiają jednak wielkie wymagania naszym charakterom. Musimy wyrobić w sobie umiłowanie pracy, poczucie odpowiedzialności i karność społeczną, a kto głębiej się nad tem wskazaniem zastanowi, ten zrozumie, jak wiele treści mieszczą te krótkie słowa. A przecież będziemy je umieli zrealizować, bo jesteśmy „pokoleniem czynu“.

W. P.

Pozwólcie nam być młodymi!

— mówi p. Grossman przew. Koła Sportowego gimn. im. M. Reja

Dzięki wielkiej uprzejmości dykcji gimn. im. M. Reja, a w szczególności prof. wychowania fizycznego p. Bolesława Olszewskiego, który od wielu już lat chlubnie pracuje, nad wyrobieniem sportowem swych wychowanków, udało nam się zebrać pewne wiadomości o sportowym Kole Szkolnem przy gimn. im. M. Reja, aby podzielić się niemi z naszymi czytelnikami.

W miłej cukierce Gajewskiego panuje nastrój sennego spokoju, jak zwykle w godzinach wczesnego popołudnia. Siedzimy sobie we trójkę popijając zwolna skromne „pół czarnej“ (przed Redaktorem stoi nawet ciastko!) i gwarzymy o tem i owem.

W pewnej chwili Redaktor błyska ku mnie okiem: — Czy pan już gotów?

— Tak jest. — Wyciągam papier i wieczne pióro. Zaczynamy.

— Przedewszystkiem proszę pana — zwraca się Redaktor do kol. Grossmana — chciałbym się dowiedzieć jakie wrażenie wywarł na młodzieży okólnik ministerstwa zabraniający uczennicom i uczniom należenia do klubów sportowych, a polecający tworzenie własnych gimnazjalnych klubów?

— Mam wrażenie, — odpowiada z lekką tremą nasz przemiły rozmówca — że wspomniany przez pana okólnik przeszedł zupełnie bez echa. Dykcje gimnazjów ograniczyły się do wywieszenia ogłoszeń o tym zakazie w kancelarjach, lecz nie zabraniają właściwie nikomu należeć do klubów, a co ważniejsze nie usiłują tworzyć własnych klubów.

— A czy uważa pan, że młodzież wiele zyskuje należąc do A. Z. S. naprzykład?

— Owszem, zyskuje bezpłatny wstęp na basen pływacki, ulgowe bilety wstępu na stadion, wreszcie — opowiada już zupełnie swobodnie kol. Grossman — znaczek i legitymację A. Z. S. — to bardzo wielu imponuje, a więc...

— Rozumiem, snobizm.

— No tak, i to odgrywa pewną rolę.

— A dlaczego naprzykład nikt z was nie chwali się odznakami gimnazjalnego Koła Sportowego.

— Koło niema żadnych odznak.

— Jakto niema odznak? Ale macie chyba swój okrzyk, piosenki, zawołania, coś soby wam nadawało poczucie łączności, wspólnej pracy i wspólnego honoru?

— Nie mamy nic takiego. Koło posiada element zbyt przepływowo, dziś się jest w Kole, a za rok...

— Ale zawsze przecież pozostaje tradycja. Pamięta pan może Kiplinga?

— Tak, „Stalky i Sp.“, — przerywa z entuzjazmem nasz rozmówca. Obecnie jest zupełnie przeobrażony. W oczach zapał, na twarz wystąpiły rumień-

ce. Niemal jednym tchem wyrzuca z siebie te słowa — marzenia o przyszłości Koła — i my moglibyśmy stać się czemś podobnem. Jaki to piękny moment, kiedy do Kolegium przyjeżdżają na doroczny mecz „old boys“ (starzy chłopcy) — ludzie, którzy dawno już skończyli szkołę, zasłużeni, niejednokrotnie bohaterowie, a jednak tak silnie łączy ich tradycja i koleżeństwo z obecnymi uczniami, że przyjeżdżają rok rocznie na parę dni, na mecz. Właściwie i my moglibyśmy stworzyć podobne bractwo. Trzeba tylko zainteresować wszystkich. Od najmłodszych, aż do najstarszych. Trzeba zbudzić ich młody entuzjazm i powołać ich do obrony wspólnego honoru, honoru gromady. Myślę nawet, że należy tu przedewszystkiem zwrócić uwagę na najmłodszych. Niechby oni posiadli tę uczciwość sportową i zamiłowanie sportu, jako gry, a nie dążność do wybicia się przez uzyskanie rekordu, co cechuje niestety, nasz dzisiejszy sport.

— Czy w tym celu powstało Koło Sportowe przy gimn. im. Mikołaja Reja?

— Nie wiem. Koło powstało z dziesięć lat temu, ja tego nie pamiętam, lecz niestety, narazie nie mamy warunków do stworzenia zwartego społeczeństwa. Koło gromadzi tylko tych, którzy interesują się sportem i ułatwia im trening. Gdyby istniało więcej kół gimnazjalnych wtedy wynikłaby rywalizacja i zawody międzyszkolne pozwoliłyby nam łatwiej zbudzić w sobie ten powiedzmy patriotyzm szkolny. A przedewszystkiem powinniśmy posiadać jakieś odznaki, coś, coby nas wyróżniało, wtedy każdy starałby się o podniesienie znaczenia naszego Koła, i ręczę, że z czasem z dumą nosilibyśmy nasze odznaki i nie byłoby żadnego ucznia, któryby nie należał do Koła i nie był z niego dumny.

— Jak pan sądzi, czy dykcje gimnazjów mają tu coś do roboty?

— O, bezsprzecznie — odpowiada z przekonaniem nasz rozmówca — dykcja może tu zrobić bardzo wiele, lecz do tego potrzeba, aby odnosiła się do tej pracy nie obojętnie ani nawet przychylnie (jak to obecnie czynią niektóre najbardziej postępowe dykcje gimnazjów), lecz, aby sama wzięła w ręce inicjatywę i pomogła nam zbudzić nasz entuzjazm, a potem iść naprzód, rozwijać naszą działalność i tworzyć tradycję, tę tradycję, która stanowi całą siłę i powab angielskich kolegów i która kształci charaktery młodzieży i pozwala rozwijać się najpiękniejszemu z uczuć — wiernej przyjaźni!

— Więc jednak, to co pan mówił początkowo o braku czasu i innych przeszkodach nie wpłynęłoby ujemnie na rozwój takich szkolnych klubów - stowarzyszeń?

— Z pewnością nie, dziś wymawiamy się od udziału w kołach, tłumacząc się brakiem czasu, bo te koła dają nam zbyt mało. Należą tam tylko ci, którzy mają szanse zdobywania rekordów, a reszta nie interesuje się tak mocno rekordami, a więc nie myśli

o kole. Lecz gdybyśmy potrafili stworzyć taką jednolitą organizację, która broniłaby naszych barw i pozwoliła nam na szlachetną rywalizację, oraz potrafiła zdobyć naszą miłość i zaspokoić dumę, — to ręczę, że wszyscy będą do niej należeć. Pomóżcie nam zbudzić nasz entuzjazm i dajcie mu odpowiednie ujście, a zobaczycie, że młodzież na którą tyle się dziś narzeka potrafi być inna! Ale przedewszystkiem pozwólcie nam być młodemi!

Na tem zakończyliśmy wywiad i serdecznie dziękując koledze Grossmanowi za tą entuzjastyczną obronę młodzieży pożegnaliśmy naszego rozmówcę.

Zauważyłem jednak, że teraz Redaktor był mocno przejęty. Błyszcząły mu oczy i pałały policzki jak niedawno koledze Grossmanowi.

— Jak mnie to cieszy — zacząłem, — że jednak usłyszeliśmy dziś tak wiele rzeczy miłych i ciekawych, doprawdy mam wrażenie, że w ostatnich czasach zbyt mało się robi dla młodzieży, a zbyt dużo się o niej mówi i to całkiem niepochlebnie. Jednak w gruncie rzeczy młodzież zawsze jest elementem najbardziej wartościowym i zawsze jest młoda — a to najważniejsze.

— Tak, a teraz niech pan napisze ten wywiad, ale z życiem, bo to ma być manifest do młodzieży!

— Rozkaz, panie Zygmuncie!

I oto napisałem manifest, a ktoby pragnął dorzucić do niego jakąś myśl — prosimy napisać do nas. Czekamy!

Michał Ochorowicz.

Juljan Ejsmond

Omawiając bogatą spuściznę literacką tragicznie zmarłego w czerwcu roku bieżącego ś. p. Juljana Ejsmonda przedewszystkiem zwrócić muszę uwagę na dwa jej najważniejsze działy: bajkopisarstwo i literaturę myśliwską.

Bajki były rodzajem, którym zadebiutował młodociany dwudziestoletni zaledwie poeta (Bajki i prawdy 1912 r.), i bajki o podłożu satyry społecznej i politycznej były do końca życia jego ulubioną formą. W tych krótkich, kilkuwierszowych nie rzadko utworach potrafił Ejsmond z wrodzoną swobodą słowa i dowcipu ukazywać czytelnikom wady i przywary ludzkości zwalczając je dobrotliwą, a jednak groźną bronią — śmiechem.

Śmiało można powiedzieć, że Juljan Ejsmond, Jan Lemański i Benedykt Hertz to triumwirat, który stworzył współczesną bajkę polską. Oni to przystosowali starożytną broń mitycznego Ezopa do walki z najnowszymi i odwiecznymi, a nigdy nie starzejącymi się wadami współczesnej ludzkości.

Niezmiernie uważny obserwator, umiejący dokładnie przenikać głąb ludzkiej istoty — Juljan Ejsmond, bezsprzecznie wielkie na tem polu położył zasługi zgotował sobie trwałe pomniki, bo pomyśleć dziś nawet nie można o antologii bajki polskiej, w której nie znalazłoby się dla niego poczesne miejsce.

Tyle o bajkach, a teraz pora na myśliwstwo.

Rozkochany w przyrodzie i w polowaniu autor tu dopiero pozwala nam ujrzeć swe własne oblicze, na co w bajkach nie było miejsca. I tu wprawdzie nie pozbywa się Ejsmond uśmiechu, który był jego nieodstępnym towarzyszem przez całe życie, lecz nutą dominującą staje się w tych utworach sentyment.

Czy to przyjdzie mi rozważać „W puszczy”, czy „Moje przygody łowieckie”, czy „Żywoty drzew” — należy położyć nacisk na uczucie miłości z jaką autor odnosi się zawsze do przyrody. Idąc niezatartymi śladami Dygasińskiego, Orkana, Tetmajera opisywał Ejsmond tak niesłusznie często zapoznawane piękno naszej przyrody i na tem tle ukazywał czytelnikom w sposób prosty i bezpretensjonalny swoje przeżycia łowieckie.

A jak dalece był zamiłowany w myśliwstwie niech świadczy choćby to tylko, że tyle lat pracował w ministerstwie rolnictwa, jako referent działu łowiectwa i, że opracował nową obowiązującą w Polsce ustawę łowiecką.

Jednakże dwa omówione już działy twórczości nie obejmują całokształtu prac literackich Juljana Ejsmonda. Przyswoił on również literaturze polskiej wiele dzieł obcych, a także udostępnił szerszej publiczności łacińskie dzieła dawnych mistrzów Kochanowskiego, Sarbiewskiego. I tu ujawnia się jeszcze jedna cecha Ejsmonda, jego szczery i polotny talent liryczny. Wszystkie te tłumaczenia są tak wierne, a zarazem tak piękne i dokonane czystym językiem, często umiejętnie archaizowanym, że w dowód uznania zasług odznaczono tłumacza (za przekład poezji łacińskich Jana Kochanowskiego) państwową nagrodą im. Ministerstwa Kultury i Sztuki (1919 r.).

Mimo jednak tych prac literackich znajdował J. Ejsmond czas, aby talent swój poświęcać i dzieciom tym zaniedbanym w literaturze naszej stworzeniem, dla których tak niewielu ludzi prawdziwie utalentowanych potrafiło ofiarować trochę swych bezcennych zdolności. I na tem polu zasługa Ejsmonda jest ogromna. Bowiem takie utwory, jak „Baśń o ziemnych ludkach”, „Opowieść o Janku kominiarczyku” i inne pozwalają dzieciom od początku życia zaznajamiać się z prawdziwą sztuką, a nie jak to bywa w większości książek dla dzieci z jej obrzydliwym i nieudolnym naśladownictwem.

Jeśli więc teraz zreasumujemy ten pobieżny przegląd dzieł życia tragicznie zmarłego młodego poety, to będziemy mogli zrozumieć jaki cios poniosła literatura nasza tracąc tak dzielnego i pożytecznego pracownika.

Myszę jednak, że mimo, iż przedwczesna śmierć przerwała nagle pasmo jego życia nie pozwalając prowadzić dalej owocnej pracy, już za jego dotychczasową działalność społeczeństwo zachowa go we wdzięcznej pamięci.

J. Mirski.

Z raidu konnego przez Podole

(Fragment)

Gdy wspominam naszą jazdę z Zołobek do Jakimowiec — oczy napełnia mi blask gorącego słońca rozżarzonego na błękitnie bez chmur — i widzę dziesiątki stawków i stawów błękitno-zielonych: silne młodociele stoją wyżkolan w wodzie i wydźwigują ze dna pęki szczyrniałych i ostrą gnilną woń siejących konopi. Tu dopiero w całej krasie, wyśpiewanej przez Pola, zjawił się Wołyń klekoczą wszędzie młynki, garbią się rozjeżdżone groble.

Droga nasza wiła się kręto nad zielonemi przyrzecznemi łączkami, wdzierając się na strome, z szerokim widokiem na tę rozfalowaną krainę, wzgórze, spuszczała się przepaściami. Wozy miały nas skrzypiąc hamulcami na stokach. W jarach wązkich, a krętych zrozumiałem się stały bałagulskie dzwonki — jeszcze w tych stronach przy zaprzęgach używane — uprzedzają one przed niebacznym spotkaniem. Choć tu konie i ludzie po górach zbiegać umieją — ale niejedna spadzistość upamiętnia się jakimś kunsztownym ominięciem niebezpieczeństwa, gdy zerwane naszelniki spuściły bryczkę dosłownie „na zbity łeb. „Przy zatokach sanny zdarzają się i śmiertelne upadki do jarów.

Cenek prowadził pewnie, choć od 15 lat w tych stronach nie był — raz tylko się zawahał — opowiadał mi właśnie, że będziemy mieli cudny kawałek przez tunel leśny — ale zamiast na prawo las ukazał się z lewa. Zapytaliśmy się baby o drogę: „Tria i chaty bez pole. Był tu toczka lis, ale tritoj rik jak sijut“.

Wsie leżały w rozdołach; na pagórkach, wśród lip zieleniły się kopuły cerkiewek; ich to akta, nieraz po kilkaset lat mające, ocalałe z pożóg wojennych, które jednak tak wiele skarbów kultury i rozwoju tych stron w popiół obróciły — opowiadają badaczom dzieje okolic najbliższych, gdzie kto mieszkał, czem się zajmował — rysują się historie rodów i osad — a z nich i historia całej polaci — którą ci ludzie pługiem i orężem znaczyli. Tak minęliśmy Borki, Szumbar, Zahajce z czterema wielkimi stawami i wspaniałą wysadą czereśniową, Matwijowce Ledóchowskich, gdzie koleżanka — Jadzia, z którą dotąd spotykaliśmy się tylko na nartach, krzepiąc nasze zwątlone siły, nie mogła się uspokoić — że i konno i nie na Gąsienicowej zetknąć się można, a dalej sły starożytnie Tatarsowce z mogiłami potomków Dżyngis - Chana, Krasnołuka i Jakimowce, których akta oblatowane w r. 1595, 26 Julii w Krzemieńcu mówią, że zostały przez Kuniowskich, herbu Piatyroh oddane Księciu Zbaraskiemu za 1500 kóp groszy litewskich.

W Jakimowcach — ciotka zajęta młócką keni-czyny przyjęła nas tak, jakbyśmy przyjechali z folwarku oddalonego o trzy kilometry. Zato bratowa urządziła nam przyjemność o jakiej ledwie mogliśmy marzyć — była nią świetna gorąca kąpiel w wielkiej obfitości wody. Z Jakimowiec mieliśmy „skoczyć w bok“, by zobaczyć słynny staw Borsukowiecki, nazwany przez Ejsmonda „Cudem Horynia“. Głęboki i kapryśny Horyń ujęty tam został kilkadziesiąt lat

temu w potężne groble i tamy i utworzył staw długi na 8 km., a szeroki na 2. Na dziesiątki tysięcy rubli, a teraz złotych sprzedają tam ryb przy odłowach — a tradycja mówi, że w korycie Horynia, którego ani osuszyć, ani swobodnie przejść sieciami nie można kryją się stare mądre karpie i sumy potężnych rozmiarów. Myśliwi z dalekich stron przyjeżdżają tu na ciągi gęsi, a nierzadko w czasie przelotów spotyka się i dzikie łabędzie. Różnych gatunków wodnego ptactwa ma być nieprzebrana obfitość. Jak to się zwykle dzieje, odłożone „na potem“ owo oglądanie — nie doczykało się już sposobniejszej pory.

Sagując sobie dowolnie po rżyskach, dojechalibyśmy do „stolicy“ miejscowej Łanowiec, brudnego żydowskiego miasteczka z kościołem, cerkwią i bagnistym stawem, bez jakiegokolwiek wdzięku. A jednak jest to stara osada — i Stecki w swym opisie Wołynia — (Wołyń pod względem historycznym, statystycznym i archeologicznym — Lwów 1871), podaje tekst bardzo ciekawego przywileju danego przez króla Aleksandra Oleksie Skoworodce na dobra Kobylnia, Łanowce i róg lasu Kuźmińskiego w r. P. 1506 (oryginał dokumentu przechowywany u Romualda Podbereskiego pisany jest na pergaminie, opatrzone pieczęcią z Pogonią). „Ja Aleksander Bożiu Miłostiju korol Polskij, welikij kniaź litewskij etc. czynim znamenito sim naszym listom kto na neho posmotrit abo czuczijeho usłyzył ninesznim i na potom buduczim komu komu potrebie toho widati... Bił nam czołom ziemianin Kremianeckij Oleksa Skoworodka i powiedział przed nami sztoż namestniki nasi Kremianeckij kniaź Andrej Aleksandrowicz dał jemu seliszczu pustaje na imia Kobylniu, a pan Jurii Montowtowicz dał jemu seło pustaje w Kuzminskom powiecie na imia Łanowci i też pridał jemu kjeho otczizn i kwarowcom roh Kuźmińskoho lesu i ty listy ich pered nami pokładał i bił nam czołom abychmo jemu w tom łasku naszu uczinili i podłuh tich listow ty seliszczu i rohom lesu jemu pożałowali ino my z łaski naszaje widaczijeho, iż on meszkajet na szlachu taraskom i zawždy harła swojeho na służbu naszu nie żałujet i chatiaczijeho na potom mieti ochotniejszeho i pospiesniejszeho ku służbie naszej w tom jesmo jemu łasku naszu wdiełali i toje seliszczu Kobylijuju a Łanowci i roh lesu jemo jesmo dali i potwerżajem to sim naszym listom wieczni jemu i jehoz żenie i ich dietam i na potom buduczim ich szczatkom nechaj on tyi seliszczu Kobylnia i Łanowci i tot roh lesu dzierzyt i z ziemiłami pasznymi i sienożatymi i z lesu i z dubrowami i z pasekami i z stawy i stawiszczu i z młyny i z ich wymetkami i z bobrowymi hony sowsim potomu kak z dawna tyi seliszczu w sobie sia miali i ninie majut“. Za Łanowcami wzięliśmy się prosto na Mohiłę — czyje ona zwłoki kryje — niewiadomo. W tych stronach nieraz pod pługiem zabiela się kości — czasem przy jakimś kopaniu całe cmentarzysko się odkryje — a w czaszkach uderzająco zabiela się przedziwnie zdrowe i równe zęby. A mohita nad całą okolicą góruje i zdala ją widać

Wjechaliśmy tak w dawne państwo książąt na Wiśniowcu i Zbarażu. Słynny Jeremi, który pierwszy z rodu przyjął katolicyzm, potęgę swą budował na Zadnieprzu. Tu gospodarzyła druga linja — nieustępująca pierwszej w trudach walk nieustannych z Tatarami, rycerskiej fantazji puszczania się czajkami na Czarne morze. Konstanty Wiśniowiecki popierał Dymitra Samozwańca. On to dzięki spadkowi po wygasłym rodzie Zbaraskich stał się panem tej olbrzymiej fortuny, liczącej setki wsi, futorów, młynów. Gdy w 1744 r. umarł bezpotomnie ostatni Wiśniowiecki — w sto lat później don Wiśniowieckiego klucza tylko 8 wsi należało, a dziś w zrujnowanym przez wojnę, ale zachowującym swój barokowy przepych pałacu mieszczą się szkoły powszechne i zawodowe. Szczątki cerkiewki w ogrodzie wskazują, gdzie kryją się groby prawosławnych kniaziów.

Zostawiwszy z boku Domaninkę, dawną włość głośnego twórcy paktu Hadziackiego — Wyhowskiego, zajechaliśmy do rodzinnej Daczówki. Po wsiach i pamięć zaginęła, co tam było kiedyś — nawet o tem, co tak niedawno ten kraj pożogą zalało. Dziwnie tu układa się współzycie. Wszak w tejże Kornaczówce został zamordowany ojciec męża, prawda, że przez chłopów z sąsiedniej wsi — bo starym zbójcekim zwyczajem miejscowi woleli pozostawać obojętnymi widzami — a rabować gdzieindziej; dziś gdy wesele odbywa się na wsi młodzi przychodzą do dworu po błogosławieństwo, a panna młoda wschodnim obyczajem rabów, schylona na kolana po trzykroć przed każdym z państwa bije o ziemię czołem... Gdy raz szwagier wziął udział w jakiejś wiejskiej uroczystości i serdecznie podejmowany zaszedł na przekąskę do gospodarza, o którym był powszechny głos, że nie rabował — musiał jeść swemi własnymi srebrnymi sztucami — i tylko pocieszał się, że może zostały z drugiej ręki kupione. Przy nas policja, szukająca kradzionego prosiaka znalazła w chlewiku i odniosła prawym właścicielom stary portret rodzinny. Nic nie można było zarzucić uprzejmości z jaką kłaniano nam się po wsiach, chęci pokazywania nam drogi — ba wielokrotnie młody gospodarz, — na którym znać było niedawny pobyt w wojsku, na ukraińskie zapytanie odpowiadał staranną polszczyzną — a jednak mimo wszystko niepodobna się opędnąć było uczuciu, że wygasły wulkan jeszcze ma w swem wnętrzu płynną lawę. Jeśli jednak w województwie wołyńskim te wszystkie bolesne sprawy odżywają raczej w wspomnieniu o tyle już zaraz po przejechaniu dawnej granicy Galicji — wyczuwa się napięcie walki — dawne braterskie niemal współzycie, zadokumentowane udziałem popów unickich w tajnych pracach Ludu Polskiego, perfidna polityka, najbardziej dla sprawy polskiej niebezpiecznej Austrii, zatruła jadem nienawiści i zgubnego szowinizmu. Tam każdy wybór wójta — każde zebranie gminne staje się zaciętą walką dwu narodowości. Trudny problem mniejszości narodowych komplikuje się jeszcze bardziej — niemal w każdym województwie kresowem trzeba inną prowadzić politykę i znajomość bezpośrednia terenu jest *conditio sine qua non*. Polityka „zielonych stolików” z przed kilku laty jak najfatalniejsze wydała owoce, o wynaradawianiu nie może być mowy — i trzeba zrozumieć, że długich lat celowego i spokojnego po-

stępowania trzeba będzie, by ukraińców związać z państwowością polską i nieraz jeszcze przyjdzie przeżyć ciężkie dni zbrodniczych zamachów. Tylko od naszej narodowej mocy zależy siła i zwartość państwa — i poszanowanie naszych granic na wschodzie i zachodzie.

Nigdy nie przypuszczam, że dawne granice tak silne zachowały jeszcze piętno. Z Kornaczówki do Hołotek, gdy zjechaliśmy z dawnego zielonego pasa; do wojny z konieczności będącego nieużytkiem, a dziś już pracowicie przez chłopów zaoranego — w pierwszej wsi tak samo zresztą długiej, rozbudowanej jak wołyńskie — zobaczyliśmy zupełnie inaczej utrzymane ładne bydło, podrasowane, silne konie.

Biorąc etnograficznie — to z Wołynia przejechaliśmy na Podole, a koło Białozórki ciągnąć się poczyna płaszczyna — kiedyś stepem będąca. Jesteśmy tuż na samem pograniczu — po nocy jazda przestaje być przyjemną, bo wśród krętych drózek nietrudno jest zmylić drogę. Taką miłą posłubną podróż miała siostra Inka K. Gdy o zmroku wyjechała z mężem do swego nowego domu — w pewnej chwili stary, wypróbowany Iwaś wstrzymał konie i orzekł: — „chyba my już po tamtej stronie”. Państwo młodzi jasno sobie zdawali sprawę, że bolszewicy nie mają względów i w najlepszym razie na pomysłny wynik długotrwałych „dyplomatycznych interwencji”, trzebaby miesiące oczekiwać w więzieniu. Zawrócono konie w zdecydowanie przeciwnym kierunku i gdy się zbliżono do wsi, Iwaś w kurtce tylko, w której od biedy mógł za miejscowego chłopca uchodzić, ruszył na przeziady. Oczekiwanie na jego powrót trwało wieczność. Okazało się, że na szczęście jeszcze się jest wśród swoich. Sami też przeżyliśmy podobnie kilka ohydnych godzin, gdyśmy nie obliczywszy się z coraz wcześniej zapadającym zmrokiem, też któregoś dnia zapóźnili się z powrotem koło Juśkowic. Życzliwa rada jednego z gospodarzy, który na skraju wsi nas ostrzegł: nie jedźcie na prawo, dodała nam tylko emocji — atmosferę zgrozy spotęgowało spotkanie zwiadów końskich: — dwa jasnokościaste szkielety stały oparte o ogrodzenie krzyża na niewielkim pagórku — w szarości mgły niesamowicie rysowały się te skulone, zadami od fali dżdżu odwrócone postacie. Co robiły w takim oddaleniu od wszelkich ludzkich siedzib? Zmrok, ślizgawica, zimny lodowato deszcz potęgowały i tak już silne napięcie nerwowe

Po ścierniskach choć trochę dawało się popędzać kłusem, ale choć unikało się męczącego ślizgania — zato można się było narazić na stracenie drogi jeśliby nagle w bok wykręciła — jakoż tak się i stało i z lartarką elektryczną w rękę (jak nam się wtedy to światło przydało), odszukaliśmy koleiny. Jakże miłe są w takiej opresji te znaki kół — dokument, że nie jest się straconym w niesamowitej pustce — ale gdzieś może niedaleko płoną światelka w oknach, warzy się wieczerza, jest ciepło i sucho. Zmordowani piesko dobiliśmy do domu, a nasze konie też radosnem parskaniem powitały stajnię.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, więc miejscowi żartowali z moich bolszewickich obaw. Kiedy rozlega się gwałtowna strzelanina, powiadają flegmatycznie: „a to bolszewicy podatki wybierają” — i istotnie nazajutrz Domka, lub Jewdocha przynosi ze

wsi wiadomości, że w tej i tej wsi chłopci przyjęli bolszewików karabinami — a ci odpowiedzieli „maszynką”, potrafią nawet przytoczyć cyfry trupów z obu stron. Jest to przedziwna poczta pantoflowa — bo formalnie niema dla nikogo przejścia przez granicę.

Zdarzają się też historie godne Kmicica. Oficerowie z K. O. P., których domem nierzadko jest strażnica, górująca wieżyczką i wiecznie czujna — niby Chreptiów w miniaturze, opowiadają jako sprawy codzienne rzeczy, od których ludziom z centralnych województw stanęłyby włosy na głowie. Gdyby to można opisać — młodzi chłopcy przestaliby marzyć o Jack Londonowskiej Alasce — a zapragnęliby znacznie bliżej — i może z większym pożytkiem szukać Przygody. Ot np. taka historia: do strażnicy przechodzi wiadomość, że silny patrol bolszewicki przeszedł granicę i z uczynionej zasadzki pochwycił 2 żołnierzy z K. O. P., jadących z ważnymi papierami. Krótka decyzja oficera: kilkudziesięciu żołnierzy przechodzi z kolei na „tamtą stronę” pod osłoną nocy dociera do bolszewickiej strażnicy — błyskawiczny bez huku wystrzał napad, ktoś tam jest ranny — kto potrzeba związany — jeńcy uwolnieni i rozpoczynają się odwrót. W bezpiecznym miejscu zbiórka —

okazuje się, że jeńcy są, ale trzech z oswabadzających brak, oficer samoczwart powraca — odszukuje maruderów — i o świtaniu zwycięzcy cali piją z minami niewiątek herbatę w strażnicy. Rzecz została wykonana dobrze, bo nawet skorzy do interwencji dyplomatycznych bolszewicy woleli tym razem zajście przemilczeć. Na takich opowiadaniach różnego typu i wieku wpływały nam wieczory w Hołotkach.

—oo—

Kończyły się dni słonecznego urlopu — jak sen zbiegły te wszystkie dni, każdy swą odrębną wartość, cenne wspomnienie mający. W codzienność miejskiego życia zabieraliśmy rozjaśnienie słonecznych dni na szerokich rozłogach wołyńskich, tęczowe barwy pól, lasów, wód, nici braterskiego poznania zadzierżgnięte nad Styrem Horyniem, Ikwą, całą odmienność współżycia z koniem, rozkosze co dnia nowych dróg, skrzypliwą muzykę rzemieni siodła... W łzawy wilgotny dzień, odziani w płaszcze — z wyładowanymi na nowo juczkami, z ciemnym pasem koców za siodłem wjechaliśmy na pobocza krzemienieckiej szosy z powrotem na północ.

Z. Kańska.

Ś. p. dyrektor K. L. Lorentz

Z końcem ubiegłego roku szkolnego, zmarł ś. p. Karol Ludwik Lorentz, długoletni i zasłużony pedagog, właściciel i dyrektor jednego z pierwszorzędných gimnazjów warszawskich, autor znanych i szeroko przyjętych w szkolnictwie nietylko polskiem, lecz i zagranicznym, podręczników języka niemieckiego.

Zmarł człowiek ogromnej i niestrudzonej pracy, oddany całą duszą pedagogicznej placówce, którą stworzył i ukochał, przejęty głęboko ważną i świętą misją wychowawcy i kierownika młodzieży.

Wielka rodzina szkolna, której przewodniczył i którą prowadził, była ośrodkiem Jego najgłębszych zainteresowań i troski — była Jego ukochanem dzieckiem, które otaczał mądrą i czujną opieką ojcowskiego serca.

Marzeniem ś. p. Ludwika Lorentza było ogarnąć całokształt życia powierzonej sobie młodzieży; w tym celu wytrwale dążył do wytworzenia najściślejszej współpracy szkoły z rodzicami uczniów rozumiejąc, iż w ten tylko sposób osiągnie jednolity i harmonijny kierunek, stanowiący zasadniczą podstawę racjonalnego wychowywania młodzieży.

Tej właśnie pracy wychowawczej, nie zaniedbując starań o wysoki poziom naukowy szkoły, poświęcał się do ostatniej chwili życia, bez zastrzeżeń, bez wytchnienia, bez względu na stan swego zdrowia, coraz gwałtowniej domagającego się wypoczynku.

Dyrektor Lorentz nie miał oznaczonych godzin dla przyjmowania rodziców uczniów, dla wysłuchi-

wania ich trosk i niepokojów, dla udzielania im rad i wskazówek — drzwi dyrektorskiego gabinetu stały zawsze otworem dla rodziców i uczniów. Oficjalne godziny przyjęć w Jego szkole nie istniały.

Uczniowie, począwszy od maleństwa z podstawowej klasy do maturzysty włącznie, o każdej porze mieli wstęp wolny do swego dyrektora — pośredników nie potrzebowali — biegli do Niego, jak do ojca, ze skargą, z prośbą, z radością swą, czy smutkiem pewni, że będą wysłuchani i zrozumieni. Bo On wnikał w najdrobniejsze szczegóły ich życia szkolnego i domowego, znał je i odczuwał, zapobiegał złemu, zachęcał i utrzymywał w dobrem.

Tak samo znał i interesował się życiem swych współpracowników; oni również szli do swego dyrektora, jak do przyjaciela, z całym zaufaniem zwierając Mu swe troski i kłopoty, a On każdemu chętnie i serdecznie służył swą światłą radą i pomocą.

Ś. p. Ludwik Lorentz był niesłychanie dobry i wrażliwy na ból i niedolę ludzką. Mało kto wie, ile dobrego czynił ten szlachetny człowiek — ile łez otarł, ile cierpień osłodził... o tem wiedzą tylko ci, którzy dziś pamięć Jego wciąż otaczają i boleją nad świeżą mogiłą. Pełen prostoty i skromności wszelkie dobro czynił pocichu, tajemnie — nie lubił rozgłosu, nie szukał reklamy; wymagający i ambitny na punkcie swej ukochanej szkoły, niezwykle był skromny w życiu prywatnym i bez wymagań dla siebie. Posiadał przytem cechę, niezmiernie rzadką wśród ludzi — pamięć serca. Ktokolwiek w życiowej Jego piel-

grzymce kiedykolwiek podał Mu dłoń pomocną, okazał życzliwość, wyświadczył przysługę — jednal sobie wdzięczność Jego nazawsze i tej wdzięczności do wody odbierał do końca Jego życia.

S. p. Ludwik Lorentz, acz pochłonięty wyczerpującą pracą w swej szkole, nie zaniedbywał obowiązków społecznych — hojnie wspierał przeróżne instytucje dobroczynne, a w jednej z nich pracował jako czynny członek — w Towarzystwie Opieki nad Dziećmi.

Dzieci — i zawsze dzieci, jako podstawa i przyszłość narodu, którego był najzacniejszym obywate-

lem, stanowiły najistotniejszą i najgłębszą troskę s. p. Ludwika Lorentza, były najbliższą potrzebą Jego serca — im oddawał wszystkie siły tego serca, cóż więc dziwnego, że serce to wyczerpało się przedwcześnie i zapragnęło wiecznego odpoczynku.

Ale, choć śmierć oderwała Go od wielkich zadań i prac, pełnego zasług życia, duch Jego od nich nie odszedł — będzie On nadal czuwał nad ukochaną swoją szkołą, nad osieroconą przez się młodzieżą, będzie natchnieniem i pomocą tym, którzy pracę Jego przejęli i ku czci Jego poprowadzą.

Z. K.

Dlaczego piszczy i sapie?

FELJETON KINOWY

Właściwie proszę państwa kino dźwiękowe to cudowna rzecz. Są wprawdzie tacy, co gotowiby tego nie uznać, ale ja, wyznając to szczerze, jestem entuzjastą dźwiękowców. No, bo zastanowić się tylko tak niedawno wprowadzono do kina dźwięki (zaledwie rok), a już slyszalem tyle niezwyklych rzeczy. Slyszalem jak przemawia Mussolini, jak strzelono do księcia Humberta tylko zapomniakim w jakim to bylo mieście, jak Harrold Loyd tupie, jak Greta Garbo kicha, jak kaczka w Ameryce kwacze, jak pies wyje, jak śmiał się niemiecki admirał, kiedy zatopiono trzy angielskie torpedowce i t. d.

Mógłbym jeszcze wyliczać tak ze sto wierszy, lecz poco? Przecież chyba już wszyscy wierzą, że dźwiękowiec to cud.

Choć muszę przyznać przypomniało mi się coś...

A było to tak. Siedzę sobie wielce przejęty: film był morsko-wojenny, a przedemną siedzi jakaś pani z małym, może dziesięcioletnim synkiem. Właśnie pędzi amerykański torpedowiec. Kapitan daje rozkaz: „całą siłą pary naprzód!” — wzburzone fale zalewają od czasu do czasu pokład nagle:

— Co to piszczy mamusiu? — zapytuje mój mały sąsiad.

Komandor Tokugawa

Teraz — w ciszy sklepionej dookoła stołu — wibrował tylko oddech porucznika Jamamoto. Porucznik na chwilę pozostał sam, Ito i Jamada wyszli na pokład. Mógł więc usiąść teraz, — ot, tak przy stole, zatkać uszy rękami, nareszcie odgrodzić się w ten sposób od męczącego swą monotonią huków detonacji z lądu. „Nie słyszeć” — tego tylko pragnął porucznik Jamamoto.

Rozmyślał. Właściwie oddawna wiadomem było, że prędzej czy później miasto zdobędzie armja Czerwonych. Ale najściślejszy wywiad nie ustalił, że stanie się to dzisiejszej nocy, — któżby mógł przypuszczać? Wczoraj rano jakiś bagatelny strajk, demonstacje na przedmieściach, parę strzałów w porcie, a już w nocy, o pierwszej, nagły grzmot kanonady, łuna pożarów, zamęt, rewolucja. Któżby przypuszczał, że to stanie się dziś? Z okolicznych gór, z zaprzepaszczonych lasów wylało się powstańcze mrowie, partyzanci, hołota; większość pułków Kołczakowskich stanęło po stronie rebeljantów, — i macie: miasto zdobyła rewolucja. Ale, być może, jeszcze nie? Któż to może wiedzieć? Tu — na tym kontrtorpedowcu, odcięty od świata na samym środku słonecznej redy, otoczonej zewsząd pożarem. Nad górami szły dymy, oleiste chmury lawiną dymiły się w niebie, dołem i górą grzmiały salwy armat, detonacje, trzaski. Ale kto zwycięża? Posłać wywiad? Zby-

teczne i nieetyczne, bo przecież postępowanie kontrtorpedowca w tym wypadku wyraźnie określał rozkaz Dowództwa Floty. Brzmiał: — „Rozkaz dla kontrtorpedowca „Hiro”. Przeznaczenie: kontrtorpedowiec „Hiro” pod rozkazami komandora J. C. M. — Tokugawa — z V Dywizjonu Torpedowców bazy wojennej w Genzan uda się, niezwłocznie na radę portu Władystok (Haj - Szin - Wej). Cel: zmanifestowanie postanowienia Rządu J. C. M. obrony interesów moralnych i materialnych poddanych J. C. M. w oznaczonym mieście, wobec spodziewanego zatargu rewolucyjnych i rządu Admirała Kołczaka wojsk. Pobyt kontrtorpedowca „Hiro” na redzie portu Władystok ma być utrzymany w charakterze najściślejszego neutralitetu”. Tak brzmiał rozkaz.

Ach, ten upał. Porucznik Jamamoto miał tego naprawdę dość. Ten upał. To lipcowe piekło morza, nieba, rewolucji, rozgrzanej do absurdu stali kontrtorpedowca. Absurd! Porucznik Jamamoto miał tego naprawdę dość. Od czternastu godzin trwa ta zawierucha. Porucznik Jamamoto odejmuje ręce od uszu, znów nawylot świdruje głowę gromowe tremolo detonacji. Na Kwannon — boginię litości — mogliby już z tem skończyć!

Wstał. Podeszedł do iluminatora. W okrągłym otworze, jak na obrazku: — góra, otoczona kłębamii dymu, dalej — popielata jasność nieba, i na tem przeklętym tle przekłeta sylwetka baterji. I te trzy przeklęte flagi sygnałowe. Uragowisko! Niesłychane pogwałcenie najprymitywniejszych zwyczajów mię-

— Nie rozumiem — odpowiada mama — o co ci chodzi?

— Co i dlaczego piszczy?

— Czy ja widać, pewno wiatr tak na morzu gwizdże, a może fala.

Wtem łódź podwodna wypuściła torpedę. Celnie trafiony statek osuwa się na dno.

— Mamusiu, kto na tym statku gra? — pyta malec.

— To nie na statku.

— A przecież na filmie!

Przysłuchuję się więc uważnie, tak rzeczywiście, film gra jakiegoś nastrojowe tango, a nieszczęśliwi marynarze topią się do taktu. Fe! To brzydtko! Bo jeżeli grała orkiestra, no to wiedziało się, że zawsze film swoje, a orkiestra swoje, ale tak to czy ja wiem... A i wtedy co to piszczało? Może malec miał rację, że to nie było potrzebne, a może to się tak wabiły morskie bałwany. Na morzu zdarzają się rozmaite dziwne rzeczy.

Innym razem byłem na filmie cowboyskim (ogromnie lubię takie filmy, wszyscy się ciągle biją i jest doskonale szybka akcja). Aż tu kiedy bohater miał porwać swą ukochaną, czarny charakter nasłał na niego czterech zbrojów z wielkimi smylwessonami. Otóż oni zaszli z tyłu i celują do niego, a on jakby nigdy nie stoi i śpiewa, tak było pięć minut. Potem nagle bohater skoczył przez okno, a oni strzelili, ale już zapóźno, więc nie trafili.

No myślę sobie teraz ucieknij. Tymczasem nie. Odważny amant wsadza głowę przez okno i znów śpiewa: „Rio Rita...” i tak znów pięć minut, a oni znów celują, ale znów się spóźnili ze strzeleniem, więc amant uciekł.

I tak było przez dwie godziny, nakoniec bohater z bo-

haterką pocałowali się, a jakże, było słyhać i na tem film się skończył.

Ale com się zmęczył, tom się zmęczył, zupełnie jak we śnie, gdy się śni, że cię ktoś goni, a tobie nogi do ziemi przystają i nie możesz uciekać. Oj! już chyba nie pójdę więcej na taki film i nikomu nie radzę, to zbyt denerwuje!

Gorzej jednak było, gdy się raz dostał na węgierski film mówiony. Dokładnie było tak:

— Asz, merék, kermeke, tamakiki, hops! — i wszyscy na filmie się zaśmiewają, a publiczność milczy. Wtedy dopiero zrozumiałem, że przysłowia są mądrością narodów, bo, oto byłem na niemieckim kazaniu.

Reasumując jednak to wszystko straciłszy bardzo wiele. Cały scenariusz filmowy do dźwiękowca stanowi czasem jedna piosenka, a reszta to coś jak mała operetka. Film stracił tempo, wlece się powoli skrzypiąc, piszcząc i sapiąc niezrozumiałe słowa. Zamiast pięknych zdjęć krajobrazów egzotycznych (dla większości osób jedyna możliwość zobaczenia tych miejsc, bo podróżować jest zbyt trudno), zamiast tych wartościowych zdjęć widzujemy teraz zbliżenia twarzy śpiewaków. A zysk taki, że słyszymy jak jedzie pociąg, lub samochód — to są jednak rzeczy dość znane, albo jak bohater krzyczy, zresztą nie wiemy co, albo jak tupie, strzela i t. p. to chyba nie zbyt wiele?

Więc też sobie myślę, że ten dziesięcioletni obywatel miał rację, kiedy pytał dlaczego i poco piszczy i sapie?

A pociachu modłę się o to, żeby wróciły nasze dobre stare, ciche filmy nieme, takie miłe i często posiadające duże wartości artystyczne, czego stanowczo o dźwiękowcach powiedzieć nie można.

Kinoman.

dzynarodowych. Uragowisko! Jak można w stosunku do neutralnego gościa postępować w ten sposób? Cynizm! Porucznik Jamamoto zacisnął pięści. I nagle — znów kłująca myśl: — Sumiko. Mimowoli kojarzył imię komandorowej Tokugawa z imieniem swej żony. Gdy porucznik Jamamoto, zgodnie z rozkazem Dowództwa Floty, opuszczał Genzan — porucznikowa Sumiko była tak bardzo chora. Teraz — bał się, — tak — poprostu bał się myśli o niej. Więc, żeby się rozerwać, znów uważnie po raz chyba setny, sprawdzał sygnały tej przekłętą baterji. Mówiły niewzruszenie to samo: — Poddajcie się...

Ocknął się z zadumy. Nie zauważył nawet, że ogniomistrz Ito i kadet Jamada są z powrotem. Poprzez szum dudniacej mu w skroniach krwi posłyszał znów imię komandorowej.

— Pan kadet mówi? — zwrócił się do Jamady.

— Stan pani Tokugawa jest okropny. Jest nieprzytomna...

Fatalne. Fatalne. — Pani Sumiko dziś właśnie miała wyjechać na pocztowym parowcu do Nagasaki, do domu. Fatalne. Waśnie w nocy zaczęła się ta rewolucja.

— Oburzające, — mówił ogniomistrz Ito, — przecież te łotry widziały na motorówce nasz sztandar. A mimo to do motorówki strzelano. Przecież to jedno zrywa naszą neutralność...

Wyjrzał przez iluminator. — Podniósł Zeissa do oczu. Odrazu zwilkrotniło się wszystko. Park z wysokim obeliskiem Newelskiego pośrodku. Politechni-

ka. Naprawo — ciężkie kłęby dymu, płonące więzienie. Odruchowo podniósł lornetkę wyżej, ku fortom baterji. Sylwetki sześciocalówek, maszt sygnałowy, flagi. „Jednak te łotry mają perfidję”. — Pomyślał.

„Poddajcie się”. O, djabelska perfidjo! Komandorowa Sumiko, uciekając w nocy z rozszalałego miasta motorówką, była ścigana strzałami jakiegoś patrolu w porcie. Dostała postrzał w głowę. Felczer na kontrtorpedowcu powiedział, że niezbędną jest natychmiastowa trepanacja czaszki. Inaczej — śmierć. Komandor Tokugawa natychmiast rozkazał wywieść sygnał: — „Żądamy pomocy doktora”. Baterja, — o, perfidjo, — odpowiedziała: — poddajcie się.

O, perfidjo. — O, piekło, — na boginię Kwannon. Od czternastu godzin trwa ten śmiertelny dialóg, ta partja, w której stawką jest coś większego, niż życie jednej kobiety: honor narodu i szczęście jednego mężczyzny. Śmiertelny dialóg — milcząca prosba i urągliwa pycha. Od czternastu godzin — agonja kobiety, szelest sześciu flag sygnałowych i gromowe tremolo rewolucji.

— Pan mówi? — nie dosłyszał porucznik Jamamoto.

— Tak, pan komandor stanowczo odmówił, panie poruczniku. — Mówił kadet Jamada, — mimo, że sternik rozplakał się, kiedy nalegał o odwiezienie na własne ryzyko pani Sumiko na ląd do szpitala. Nieprawdaż? — wysłanie dwóch marynarzy na ląd — to strata ich. Będą zabici lub, co gorsza pójdą do niewoli.

Z PRZYRODY I TECHNIKI

Nowa karta chlubny polskiej astronomji

Nie dawno temu pisaliśmy na łamach „Sternika“ o poszukiwaniach dziewiątej, pozaneptunowej planety naszego układu słonecznego. Prędzej, aniżeli się tego spodziewaliśmy, sprawdziły się przewidywania astronomów o istnieniu tej planety. W marcu tego roku świat dowiedział się o niezwykłym odkryciu tej planety na drodze fotograficznej odkryciu dokonanej przez astronomów amerykańskiego Flagstaff-Observatory.

Historja odkrycia tej planety przedstawia się niezwykle interesująco.

W roku 1915 znany badacz Marsa, profesor Lawrence Percival Lowell ogłosił memoriał, w którym przewidywał istnienie planety pozaneptunowej i starał się obliczyć w przybliżeniu elementa orbity owego nieznanego ciała niebieskiego: niestety w roku następnym zmarł zasłużony astronom i nie doczekał się sprawdzenia tej przepowiedni. Po jego śmierci sprawą tą zajął się specjalnie W. H. Pickering, dyrektor prywatnego obserwatorium w Mandeville na Jamajce. W szeregu swych artykułów naukowych dowiódł możliwości istnienia przynajmniej jednej planety pozaneptunowej oraz wskazał w przybliżeniu miejsce na niebie gdzie należało szukać tej planety.

Mało było nadziei odkrycia planety pozaneptunowej, gdyż blask jej musiał być tak słaby, że tylko największe lunety światła mogły brać udział w niebywałym wysiłku. Po-

zatem największe trudności następczo wyodrębnianie nieznannej planety wśród powodzi gwiazd stałych, widocznych przez silne lunety. Trudności te i wątpliwości nie odstraszyły jednak astronomów. Zabrali się rzetelnie do szukania małej bladej gwiazdeczki i oto w marcu tego roku świat dowiedział się o odkryciu dziewiątej z rzędu planety naszego systemu słonecznego. Odkrycie zostało dokonane w obserwatorium w Flagstaff w Arizonie, gdzie pracował niegdyś Lowell.

Dnia 20 stycznia tego roku dokonano fotograficznego zdjęcia części konstelacji Bliźniąt. Na kliszy wśród powodzi punkcików gwiazd stałych zauważyli astronomowie słaby ślad kreseczki. Lunety astronomów zwykle połączone są z mechanizmem zegarkowym, który prowadzi lunetę w ślad za ruchem ziemi i stale ją kieruje na to samo miejsce nieboskłonu. Gdy przyłączymy aparat fotograficzny do lunety w ten sposób zmontowanej, gwiazdy stale przedstawiają się nam jako kropczki świetlne, planety atoli, jak zresztą wszystkie inne ciała niebieskie, poruszające się wyraźnie na tle gwiazdzistego nieba pozostawiają ślad kreskowy, gdyż wobec małej siły świetlnej gwiazdy płyta przy zdjęciu astronomicznym bywa zwykle eksponowana kilkadziesiąt minut, a często nawet kilka godzin i w tym czasie dana planeta odbyła już część swej drogi, którą płyta utrwaliła w postaci kreseczki. Kreskowy ślad tajemniczej gwiazdy zdradzał więc, że nie należy do gwiazd stałych.

— Ależ? Niewoli? Nie, tak daleko nie zajdą. Nie ośmielą się uwięzić neutralnych żołnierzy.

— Nie ośmielą się? Ależ, panie poruczniku, pan przecież wie, że strzelano do naszego sztandaru. A więc?...

— Przecież to nie wojna, do piorunów, — uniósł się porucznik Jamamoto, — niech oni się biją sami. Co to nas, do piorunów, obchodzi? To nie wojna.

— Ach, — uśmiechnął się ogniomistrz Ito. — Nie wojna? A co znaczy to? — wskazał ręką na iluminator. Perfidne, nikczemne znaczyły się na siwym tle nieba trzy kolorowe flagi „poddajcie się“. — Czyż, panowie, — mówił dalej, nie jesteśmy w bitwie. Przecież tylko w walce strony tak do siebie mówią.

— Ależ to co innego. To prywatna sprawa bandy nikczemników...

— Pan się unosi, panie poruczniku.

— Przepraszam, — ale powtarzam: to ich prywatna sprawa, żadna wojna. Mimo to otworzyłbym ogień. Zgnieść, zniszczyć tą przeklętą baterję.

— Prędzej oni nas zniszczą. Zresztą — sądzą że pan zna rozkaz dowództwa dla pana komandora Tokugawa.

— Przepraszam, uniósłem się. Ale to takie...

Umilkli. Słuch, przyzwyczajony do kanonady nie reagował już na subtelną lecz okrutnie — bolesną wibrację powietrza. Raczej dokuczało pragnienie.

W rozgrzanej oleistej atmosferze kabiny nawigacyjnej poprostu brakło tchu. Serca były przyspieszonym tętnem. Trzy woskowe twarze nieruchomiały w oślepiającym blasku południa, — trzy martwiejące twarze. Młodzieńcza — porucznika Jamamoto, o miękim wyrazie południowca z Nagasaki; starsza, znaczona śladami ospy — ogniomistrza Ito, surowa, mająca w sobie coś z klasycznych masek Kabuki i najmłodsza — kadeta Jamady, o hieratycznym zarysie samurajów. — Twarz kadeta Jamady, zazwyczaj pogodna, była teraz, być może, trochę bledsza, ostrzejsza niż wczoraj. Nic dziwnego — to pierwszy chrzest bojowy kadeta. I zbyt długo przyglądał się przez najlepsze Zeissy temu co się działo na lądzie. Starał się ukryć drobne drżenie rąk, gdy zapalał papierosa. Zresztą — słusznie oburzyłyby się, gdyby mu zarzucano że denerwuje go kanonada. Przenigdy! W pierś kadeta Jamady biło serce mężczyzny: — zbyt bolesnym był dlań widok cudownej martwiejącej twarzy komandorowej Sumiko, widziany przed chwilą.

Milczeli. Ogniomistrz Ito nie odrywał lornetki od oczu. O pół kilometra na wybrzeżu zdobywano teraz barykadę. — Rwał się czerwony sztandar na wietrze. Tłum ludzi biegł tyraljerą. Nagle — buchnął granat i wszystko pokrył burym dymem. Ogniomistrz Ito nie czekał aż się rozwieje, jako fachowiec wiedział, że na tem miejscu jest teraz tylko wywra, a przyglądać się ludzkiemu mięsu nie miał zamiaru. Przesunął lornetkę. Raził oczy blask bijący od białych domów, — jak ołuszone i oślepienie, rzekłbyś,

Zasadniczo pozostała jeszcze możliwość, że odkryte ciało niebieskie jest kometą. Należało wobec tego przez kilka dni, a nawet tygodni śledzić bieg danej gwiazdy, by przekonać się ostatecznie o jej planetarnym, względnie kometarnym charakterze i stwierdzić równocześnie, że jest to planeta poza-neptunowa, przepowiedziana przez Lowella i Pickeringa.

Oczywiście samo odkrycie nowej planety, którą nazwano Plutonem, nie mogło zadowolić aspiracji astronomów. Nastąpiła teraz najtrudniejsza część zadania, a mianowicie należało jaknajdokładniej wyznaczyć orbitę nowej planety. Należało stworzyć dla niej nową kartę rejestracyjną w księdze planet naszego układu. Do dzieła tego zabrali się oczywiście przede wszystkim sami odkrywcy planety, astronomowie z Flagstaff-Observatory, oraz nieco później astronomowie obserwatorium paryskiego. Na podstawie obliczeń tych uczonych nowa planeta miała się poruszać po orbicie bardzo ekscentrycznej, to znaczy po torze o kształcie ogromnie wydłużonej elipsy. Wynik ten wywołał w świecie astronomów ogromne zdumienie, gdyż tak znaczną ekscentryczność orbity spotykamy tylko u komet, należałoby więc sądzić, że nowo odkryte ciało niebieskie nie jest planetą, lecz kometą. Takiemu atoli twierdzeniu sprzeciwiła się szalona odległość tego tajemniczego obiektu od Ziemi i Słońca.

Komety bowiem są tylko w pobliżu Słońca, to jest wtedy, kiedy znajdują się również blisko Ziemi, zjawiskiem tak niezwykle świetnym. Im bardziej oddalają się od Słońca, tem bardziej tracą na splendorze, a w odległości mniej więcej Jowisza przestają być dostrzegalne nawet przez wielkie lunety obserwatorów zagranicznych. (Nasze obserwatoria są niestety zaopatrzone w tak słabe lunety, że nasi astronomowie nie mogli marzyć o lunetarnej obserwacji Plutona. Naród

Kopernika dotąd jeszcze niezdobył się na stworzenie placówki astronomicznej odpowiadającej współczesnym wymaganiom wiedzy. Narodowy Instytut Astronomiczny im. M. Kopernika wciąż czeka daremnie na realizację.) Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że nowo odkryte ciało niebieskie znajdowało się w odległości więcej niż sześciokrotnej, aniżeli odległość Jowisza od Słońca, a mimo to zostało spostrzeżone na drodze fotograficznej.

Zagadkę tę wyjaśniły dopiero prace i obliczenia polskich astronomów krakowskich pod świetnym przewodnictwem prof. dr. Banachiewicza.

Polscy astronomowie, jak już powiedzieliśmy Plutona obserwować nie mogli, zdani więc byli w zupełności na materiał obserwacyjny dostrzegalni zagranicznych. Chcąc obliczyć orbitę Plutona musieli starać się o odpowiednie dane. Niestety starania te natrafiły na nieoczekiwane trudności. Wiadomości dostarczano bardzo opieszale i bardzo szczupłych. Żaden astronom świata nie potrafiłby na podstawie tych znakomych danych odtworzyć dokładny tor ciała niebieskiego. Nasi astronomowie jednak uzbrojeni w genialną metodę obliczania orbit ciał niebieskich, w „Teorię jakobianów i krakowianów“ profesora Banachiewicza zabrali się do dzieła. Tor nowego ciała niebieskiego został obliczony z niezwykłą ścisłością, jakiej nie można było się spodziewać po zastosowaniu dawnej teorii orbit Gaussa i Enckego.

Już w końcu maja opublikowana została polska orbita. Równocześnie zaś astronomowie krakowscy obliczyli na kilka lat wstecz położenie tej planety na tle nieba, by zachęcić astronomów zagranicznych do poszukiwania Plutona na starych kliszach, na których prawdopodobnie już niejednokrotnie został sfotografowany. Faktycznie w czerwcu nadeszła wia-

słaniały się w falach dymu, chwilami w przerwach między grzmotami dział, z przedziwną wyrazistością słyszało się delikatny szklany brzęk druzgotanych szyb. Ogniomistrz Ito przesunął lornetkę. Wzdłuż ceglanych bloków elewatorów wlokły się smugi dymu.

— Podpalili składy portowe Nobla. — Rzekł, — no, no, teraz może być katastrofa, to składy benzyny, cysterny. Sądzę że zasięg wybuchu nas dotknie.

— Już nas dotknęło, — nie wytrzymał kadet Jamada, — sądzą, że los pani komandorowej dotyka nas więcej niż...

Urwał. Tak, to stanowczo był nietakt. Zbyt nie unosi, naprawdę starsi koledzy gotowi są posądzić go o małoduszność i zbytnią zarozumiałość. Gorzej, — bo śmiałość korygowania postanowień komandora Tokugawa. Komandor rozkazał wywiesić sygnał „żądamy pomocy doktora“ — i sprawa załatwiona.

Tak. Ogniomistrz Ito spojrzął zimno na kadeta. Tak — kadet Jamada wie — częstokroć, jeszcze w szkole zarzucano mu zbytnią porywczosć. Gorzej — teraz wychodzą na jaw jego zgoła europejskie manjery. Zaiste poczuł się niegodny noszenia szlachetnej broni oficera morskiego Jego Cesarskiej Mości.

— Tak, podpalili cysterny. — Powtórzył ogniomistrz Ito. Udawał że przypatruje się pożarowi, lecz nieznacznie posunął lornetkę wyżej. Na mlecznym tle nieba, tego samego co wczoraj nieba, trzepotały sygnały baterji. Jeszcze raz je sprawdził, tak: — naj-

mniej w wątpliwości — biała skośna, czerwona z kwadratem, niebieska „P“ i „QY“, razem — „podajcie się“. I w tej samej chwili z niesłychaną wyrazistością uderzyło go jedno wspomnienie: — pełne nie ludzkiej radości i dumy oczy komandorowej Sumiko, gdy w czasie odwiedzin kontrtorpedowca w Nagasaki przyprowadziła ze sobą swych dwóch synków i przedstawiając ich ogniomistrzowi Ito powiedziała (ach, takie zwykłe matczyne) — „To moje skarby. Może mu się wtedy zdawało, ale w oczach komandora Tokugawa, obecnego przy tem, dostrzegł był najmniejszą chyba dumę i radość. — „Padła na polu chwały“, — niespodziewanie przyszedł mu na myśl werset z jakiegoś starożytnego bohaterskiego rapsodu. Ha! — „pole chwały“ — uśmiechnął się wewnętrznie. Płonęły domy, szpitale, teatry, w gruzy rozpadały się bloki gmachów. Klekotały kulomioty, koła, kopyta, w kurzawie, w zawirusze, w dymach w ogniu — wszystko w potokach upiornego słońca. „Pole chwały!“. Nonsens! Zbłąkana kula zbrodniarza, gwałciciela obyczaju panującego między narodami. Zbrodnicza kula łotra, śmiącego strzelać do kobiety. Nie! — do Cesarskiego sztandaru. Ogniomistrz Ito aż zachną się, — przecież tamta kula zanim dosięgła komandorowej znieważyla sztandar na motorówce. Zachnął się — i zaraz przypomniał sobie kamienne przerwienie oczu komandora Tokugawa, gdy zakomunikował mu odpowiedź baterji na ich żądanie pomocy doktora.

(D. c. n.).

Stanisław Marja Saliński.

domość z Mount Wilson Obserwatory w którym znajduje się największy na Ziemi reflektor, że odnaleziono Plutona na czterech starych kliszach z roku 1919, przyczem okazało się, że obliczenia polskie idealnie odpowiadają rzeczywistości. Stwierdzenie to należy uważać za ostateczne sprawdzenie polskiej orbity Plutona.

Niezwykły ten sukces czyni nazwisko prof. Banachiewicza nieśmiertelnem w Annalach astronomji, zapewni mu szczytny tytuł genialnego reformatora metod obliczenia orbit ciał niebieskich, reformatora, którego zasługi dla rozwoju astronomji są nie mniejsze, aniżeli zasługi jego wielkiego poprzednika w dziedzinie astronomji teoretycznej, Karola Gaussa, żyjącego przed stu laty i zwanego przez uczonych „prin-eps mathematicorum“.

Ciało niebieskie, którego tor obliczyli pod kierownictwem profesora Banachiewicza pp. Kordylewski i Olczak, może się zbliżyć do Słońca na odległość 4470 milionów kilometrów i znajduje się w tem najbliższym, „perihelicznem“ położeniu bliżej, aniżeli Neptun. W momencie jednak największego oddalenia się od Słońca odległość jego wynosi około 7560 milionów kilometrów. Jak widać, orbita Plutona jest wyraźnie eliptyczna, ale jednak jeszcze nie „kometarna“. Pluton jest więc planetą a rozmiarami i masą przypuszczalnie przewyższa Ziemię.

Prędkie i nadzwyczaj precyzyjne wyznaczenie orbity nowej planety jest nowym wielkim triumfem polskiej astronomji, godnie kroczącej śladami Kopernika.

Dr. F. Burdecki.

KRONIKA SPORTOWA

Koniec lata zaznaczył się w polskim życiu sportowem całym szeregiem wydarzeń znamiennych.

Przedewszystkiem zanotować należy odniesione zwycięstwa. Było ich wiele, i na różnych polach je uzyskano.

Na czele kroczą wioślarze. Okryli się sławą na mistrzostwach Europy w Liege, oraz na wielkich regatach międzynarodowych w Antwerpii. Dwójka Klubu Wioślarskiego z Poznania (pp. Mikołajczak i Budziński) zdobyła szczytny tytuł mistrza Europy, przypadający Polsce poraz pierwszy. W Antwerpii, mimo b. silnej konkurencji wszystkie trzy osady polskie, jakie zjawiły się na starcie, pierwsze przebyły metę. Jestto wspaniały sukces sportowy, uzupełniający świetnie sukces organizacyjny osiągnięty w roku zeszłym, kiedy to mistrzostwa Europy odbyły się w Bydgoszczy i wpadły tak imponująco.

Liczne i cenne laury zebrały również nasze lekkoatletki. Na III Światowych Igrzyskach Pań w Pradze czeskiej nieporównana Walasiewiczówna wygrała pewnie biegi na 60, 100 i 200 m., a Halina Kono packa pokazała, iż jest jeszcze pierwszą dyskobolką świata. Dzięki tym dwu gwiazdom, oraz dobrym wynikom pozostałych naszych sportswomen, Polska zajęła drugie miejsce w klasyfikacji narodów. Walasiewiczówna okazała się najlepszą zawodniczką Igrzysk, zdobywając sama dla swego kraju 15 punktów.

Przypomniawszy, że pływacy, pracujący niezwykle intensywnie nad podniesieniem poziomu swych wyników i propagandą tego najzdrowszego ze sportów, wygrali poraz pierwszy spotkanie między państwowe, kosztem Czechosłowacji, przejdźmy teraz do najświeższego sukcesu — triumfu piłkarzy polskich nad znakomitą reprezentacją Szwecji, w stosunku 3:0.

Zwycięstwo to nie było przez fachowców ocze kiwane. Szwedzcy footballiści cieszą się bardzo dobrą marką, pokonywali nas zresztą już nieraz wysoko cyfrowo. A skład drużyny polskiej budził, zdaniem specjalistów, szereg zastrzeżeń. Bo wyznaczono przeważnie graczy młodych, mało doświadczonych, nie posiadających większej rutyny i obycia w spotkaniach międzynarodowych. Wielu więc znawców uważało,

że ten zespół, szczytnego wyniku nie zdobędzie.

Obawy okazały się płonne. Potwierdziło się jeszcze raz, że w sporcie, tak jak i we wszystkim, czyniki psychiczne odgrywają rolę olbrzymią. Drużyna polska wygrała wyraźnie, gdyż wykazała się niezwykłą wolą zwycięstwa, walczyła z kolosalną ambicją, dała ze siebie wszystko. Młodzi gracze, więcej od starych „wyg“ ceniący sobie szczyt reprezentowania barw państwa, chcący mocniej dowieść, iż są jego godni, dwoili się i troili na boisku, poświęceniem swym i ofiarnością wzbudzając zachwyt 25.000 widzów, którzy zapełnili trybuny Sztokholmskie.

Największą sensacją sezonu był jednak start Nurmiego w Warszawie. Kim jest Nurmi, nie trzeba chyba podkreślać. Wfelokrotny zwycięzca olimpijski z Antwerpii, Paryża i Amsterdamu, posiadacz tuzina wspaniałych rekordów światowych, Nurmi króluje na bieżniach Europy i Ameryki już cały lat dziesiątek.

Otoczony jest legendami. Unikający ludzi, zamknięty w sobie, nie znoszący reklamy i pozy — Nurmi myśli tylko o zdobywaniu nowej sławy dla swej Ojczyzny, dalekiej, zimnej Finlandji, o dalszych postępach w walce człowieka z przetrzeniem i czasem. I dlatego wyrasta do znaczenia symbolu. Nurmi — to uosobienie ludzkości, dążącej niepowstrzymanie, nieprzepracie naprzód, ku nowym rekordom, rekordom mięśni, rekordom mózgu, rekordom woli i rekordom serca.

Nic więc dziwnego, iż pojawienie się jego na bieżni warszawskiej zebrało niewidzianą u nas ilość widzów — do 12 tysięcy. Przeciwnikami jego byli najlepsi nasi biegacze, Kusociński i Petkiewicz.

Spodziewano się, iż łącząc swe siły, Polacy zdolają uczynić zwycięstwo wielkiego Fina bardzo trudnem. Okazało się jednak, że Nurmi jest nie tylko fenomenem sprawności fizycznej, lecz i niezrównanym taktykiem. Wiedząc, że Petkiewicz ma groźny finisz, lecz z trudem wytrzyma ostre tempo na dłuższej przetrzeniu, zaś Kusocińskiego niesposób zmóc tempem, lecz łatwo pobić na finiszu — podyktował na pierwszych okrążeniach taką szybkość, iż Petkiewicz musiał oderwać się i stracić kilkadziesiąt metrów. Wtedy Nurmi zwolnił, by potem minąć bezapelacyjnie

Kusocińskiego na ostatnim wirażu i przerwać taśmę z przewagą 8 metrów.

Przeigrana ta była jednak sukcesem. Janusz Kusociński, walcząc niezwykle ambitnie i uparcie, ustanowił nowy rekord Polski na 5000 m. (14 m. 55,6 sek.) a król biegaczy musiał, dla uzyskania zwycięstwa, wysilić się znacznie więcej, niż potem, na wielkich zawodach w Berlinie, gdzie pierwszy Niemiec miał czas grubo gorszy od obu naszych długodystansowców, których obu zakwalifikować należy do pierwszej dziesiątki „asów” całego świata.

Przepiękną imprezą zakończyło sezon kolarstwo. Wyścig szosowy Warszawa — Grudziądz — Gdynia — Toruń — Warszawa (937 kłm.) był bowiem imponującą manifestacją tężyzny naszego młodego pokolenia,

słuchanych przez młodych kolarzy w najwyższym skupieniu, przez Warsz. Okręg. Związku Kol. wrzucił w pieniądze się fale koło białoamarantowe — wielu nie mogło ukryć wzruszenia. A gdy do urny, z pocisku armatniego sporządzonej, zaczerpnięto wody słonej, by ją zawieść na Zamek Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej, i gdy zebrany mimo wiatru i deszczu wielotysięczny tłum zaintonował chórem „Rotę” — niejednemu pokazały się w oczach łzy.

Wielkim triumfotorem wyścigu był Feliks Więcek. Drugi za Stefańskim w pierwszym etapie, pobity na finiszu drugiego etapu przez Oleckiego i Wasilewskiego, w trzecim i czwartym był zupełnym panem sytuacji, do Torunia i do Warszawy przybywając sam jeden, odsadziwszy wszystkich rywali o sporą



Petkiewicz, Kusociński i Nurmi na bieżni.

cenną tembardziej, że bieg pomyślany był jako odpowiedź świata sportowego na zakusy Niemców, chcących odebrać nam dostęp do morza.

„Wyścig do Morza Polskiego” spełnił swą rolę znakomicie. Młodzi chłopcy polscy wykazali się takim hartem ciała i ducha, taką silną wolą i taką sprawnością cielesną, że chyba nikt ze świadków ich gigantycznych wysiłków nie uwierzy już w rozpuszczane przez naszych sąsiadów bajki o niezdarności i słamazarności Polaków. Od pierwszego do ostatniego, ci co zwycięsko przerywali taśmę wśród oklasków niezliczonych tłumów i ci co wyczerpawszy wszystkie siły, musieli wkońcu zrezygnować — wszyscy uczestnicy wyścigu dowiedli, iż będzie można na nich liczyć, gdy przyjdzie spełnić obietnicę, daną podczas podniosłej uroczystości nad brzegami Bałtyku — gdzie kolarze ślubowali bronić Morza Polskiego do ostatniej kropli krwi.

Uroczystość ta w Gdyni pozostawić musiała u wszystkich obecnych niezatarte wspomnienie. Gdy po szeregu pięknych patriotycznych przemówień, wy-

ilość minut. Mistrz Polski Józef Stefański tuż po wyjeździe padł ofiarą ciężkiego upadku i tylko dzięki heroicznemu poświęceniu i zaprawdę nadludzkiej sile woli dojechał do Gdyni. Przed Toruniem jednak, po powtórny bolesnym upadku, musiał się wycofać, wyczerpawszy do reszty zapas swych sił. Wykazał się w tym biegu nieugiętą siłą charakteru, czyż jednak mogło być inaczej, skoro nosi on na piersi Orła Białego?

Drugie miejsce zajął warszawianin Wiktor Olecki z „Legji”, trzecie Wasilewski z W. T. C., czwarte ślązak Włokas, piąte młodzieńki 18-letni łódzianin Hofsznejder. Ogółem z 75 kolarzy, którzy 1 października wyruszyli z placu Marszałka Piłsudskiego, z powrotem przyjechało 29. Jestto bardzo dużo, jeśli zważyć, że etapy wynosiły 241, 198, 264 i 234 kłm., że było zimno, że wiały wiatry północne, że droga była zła i że w ostatnim dniu padał ulewny deszcz.

Deszcze i chłody podkreślają coraz wyraźniej, że sezon letni się kończy. Świat sportowy przechodzi więc już stopniowo do zainteresowań zimowych. Szy-

kują się narciarze, hokeiści i łyżwiarze oczekują niecierpliwie na mrozy... i na otwarcie pierwszej w Polsce sztucznej ślizgawki, jaka powstaje w Katowicach. Inni — zaczynają radzić, układać bilanse i opracowywać programy na przyszłość.

Tu wspomnieć trzeba w pierwszym rzędzie o przygotowaniach do udziału w Igrzyskach X Olimpiady w Lon Angelos, które się odbędą w 1932 roku. Niby, zdawałoby się, myśleć o tem za wcześniej, a jednak okazuje się, że najwyższy czas. Bo nietylko o przygotowanie zawodników troszczyć się trzeba, ale i o to, by mieć za co ich do Ameryki wysłać.

W piątek 10 października odbyła się w Państwowym Urzędzie Wych. Fiz. i Przysp. Wojsk. pod przewodnictwem płk. Kilińskiego, konferencja, na której ustalono, iż dla wysłania ekspedycji w składzie 70 osób trzeba będzie 700.000 złotych. Skarb Państwa, mimo najszczerzych chęci, w nieznacznym tylko stopniu będzie mógł przyjść z pomocą. Przynajmniej połowę niezbędnej sumy zebrać będzie trzeba wśród społeczeństwa. A że nasi mili rodacy bardzo lubią słyszeć o sukcesach barw polskich, lecz niechętnie cośkolwiek robią, by je ułatwić — więc już od dzisiaj trzeba energicznie brać się do zbiórki, trzeba poruszyć świadomą, lepszą część społeczeństwa, trzeba odnieść się do idealistycznej młodzieży z apelem: niech każdy spieszy z pomocą Komitetowi Olimpijskiemu, gdyż sztandaru polskiego nie może zbraknąć w Los Angeles, gdyż musi on zawisnąć tam na honorowym maszcie.

W. J.

KATASTROFA R. 101

Wieczór dnia 4 b. m. wyruszył z Londynu sterowiec R. 101, który miał odbyć podróż powietrzną do Karachi w Indjach. Ogólnie spodziewano się, iż dzień ten na długo będzie chlubną datą dla lotnictwa angielskiego. Los jednak zrządził inaczej.

Przed samem wyruszeniem zauważono drobne uszkodzenia jednego z motorów, lecz nie chcąc niepokoić publiczności, dokonano naprawy w tajemnicy i mimo niesprzyjających warunków atmosferycznych olbrzym wyruszył w drogę.

R. 101 przeleciał kanał La Manche i zmierzał ku Paryżowi. Ostatnia depesza otrzymana ze sterowca o godz. 1.50 brzmiała: „W obecnej chwili po doskonałej kolacji i dobrych cygarach pasażerowie udają się na spoczynek”.

Około godziny 2.10 kiedy sterowiec znajdował się w pobliżu Beauvais z niewiadomych powodów nastąpiła katastrofa.

Z pośród 54 osób będących na sterowcu, uratować się zdołało zaledwie osiem osób, a i z tych jedna zmarła niedługo potem w szpitalu. Uratowani są to mechanicy, którzy w chwili wypadku znajdowali się w przedniej kabinie i zdołali wyskoczyć nim sterowiec dotknął ziemi.

Jak straszliwą musiała być eksplozja R. 101 możemy sobie wyobrazić, jeśli weźmiemy po uwagę, że wybuchło równocześnie 172,500 mtr. sześć. wodoru,

którym sterowiec był wypełniony, oraz 52 tonny benzyny i smarów.

Przez długi czas powstały z wybuchu ogień uniemożliwiał wszelką akcję ratowniczą, z trudem też wydobyto ze zgłiszcz zupełnie zniekształcone zwłoki 48 ofiar. Między tragicznie zmarłymi wymienić należy: Lorda Thompsona, angielskiego ministra lotnictwa, sir Branchera, dyrektora lotnictwa cywilnego, oraz majora Scotta komendanta R. 101, który dokonał już na nim lotu do Kanady. Major Scott był również komendantem sterowca R. 34, który kilka lat temu dokonał pierwszego lotu transatlantyckiego. Prócz wspomnianych już zginęło wielu sławnych konstruktorów i wybitnych osobistości ze świata lotniczego Anglii.

Wśród depesz kondolencyjnych otrzymanych przez rząd angielski znajdują się depesze od dowódcy sterowca „Hrabia Zeppelin” Eckenera, oraz od zdobywców atlantyku Costes'a i Bellonte'a.

Prawdopodobną przyczyną katastrofy był zły stan pogody, burza rzuciła lecący nisko, bo zaledwie około 100 m. ponad ziemią sterowiec na lesiste wzgórze koło Beauvais i tu dopiero nastąpiła eksplozja. Ciekawe jest to, że obawę takiej katastrofy wyrażał jeden z konstruktorów jeszcze w r. 1927 twierdząc, że R. 101 nie będzie w stanie skutecznie walczyć z burzą.

W pogrzebie 48 ofiar wzięli udział Tardieu i Eynac. Asystę honorową stanowiły dwie kompanje piechoty, dwa szwadrony spahisów, oraz kompanje lotnictwa i marynarki. Następnie kontrtorpedowce angielskie przewiozły z Bologne ciała ofiar katastrofy do ojczyzny.

W ten sposób zginął największy statek powietrzny naszych czasów, dzieło dwuletnich trudów konstruktorów angielskich, grzebiąc w swych zgłiszczach 48 istnień ludzkich.

H U M O R



Odwieczni wrogowie.

— Wiecie, pani Wojciechowo, że moja córka, Marysia, to naprawdę co dzień ładniejsza.

— Ej, co dzień, czy aby pani nie przesadza.

— No, to co drugi dzień!

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

7 dni na drogach i bezdrożach

(po wędrówce Gwiaździstej Polskiej Y. M. C. A.)

W niedzielę 27 lipca nastąpiło w obozie letnim Polskiej Y. M. C. A. w Beskidach Zachodnich uroczyste zakończenie tygodniowego marszu drużynowego, w którym wzięły udział reprezentacje harcerstwa, Zw. Strzeleckiego, szkół i t. p.

Dnia 20 lipca wyruszyły drużyny po trzech chłopców z różnych stron kraju, jak na przykład: z Babiej Góry, z Zakopanego, Krynicy, Kielc, zdążając dowolnie wybraną, najciekawszą pod względem krajoznawczym trasą do ostatecznego celu wędrówki obozu „Beskid“ koło Mszany Dolnej. Po południu w sobotę 26 lipca przy bardzo niesprzyjającej pogodzie i chwilami ulewным deszczu przybywały drużyny na metę z pieśnią i okrzykami na ustach.

Po skrupulatnem badaniu lekarskim zawodnicy oddawali sprawozdania (dzienniki podróży) i udawali się na zasłużony odpoczynek.

Tymczasem komisja sędziowska zabrała się do ciekawej choć żmudnej pracy rozpatrzenia dzienników podróży i ocenienia na ich podstawie rezultatów wędrówki.

Brano pod uwagę wybór ciekawej trasy, jej długość, racjonalne spędzanie dnia, stan zdrowia w chwili przybycia do mety, stan ekwipunku i t. p. O przebytej drodze świadczyły stemple i podpisy instytucji rządowych samorządowych, sportowych i t. p.

Przy okazji zbierania tych poświadczeń chłopcy zetknęli się bezpośrednio z różnymi warstwami ludności i zebrali niezmiernie ciekawe spostrzeżenia świadczące o kulturze i zrozmieniu dla sportu i turystyki nawet wśród najszerszych warstw społeczeństwa.

Wszyscy zgodnie podkreślają nadzwyczajną gościnność i serdeczność górali szczególnie w okolicach mało odwiedzanych przez „ceprów“. Pewien kłopot mieli chłopcy z soltysami, gdyż zdaje się, do tytułu tego przywiązana jest zdolność do bardzo powolnego podpisywania się; taki na przykład pan soltys Pacyła potrzebuje podobno na wykaligrafowanie swego nazwiska około 45 minut — a komisja sędziowska „trzech krzyżyków“ uznać nie chciała.

Jeden z takich urzędników powiedział: że „żadnych takich weksli podpisywać nie będzie, że i talk ma dość kłopotów z komornikami“.

Na specjalną uwagę zasługuje schronisko „Tery'ego“ Karpathen Vereinu w dolinie Zimnej Wody, gdzie chłopcom policzono za 9 jajek, talerz zupy i nocleg bez pościeli 47 złotych i 50 groszy poczem odmówiono kategorycznie poświadczenia pobytu w dzienniku podróży, co dopiero uczyniła spotkana przypadkowo grupa turystów Polaków.

Nasze instytucje sportowe odnoszące się zawsze z największą serdecznością do obcych towarzyszy spokrewnionych, winne odwzajemniając się pięknem za nadobne zachować pewną rezerwę wobec powyższego związku.

Rezultaty wędrówki okazały się pod każdym względem korzystne: chłopcy zyskali na zdrowiu, poznali najpiękniejszą część kraju, zebrali wiele wrażeń, jakich nie dostarczy nie tylko miasto czy uzdrowisko ale nawet najlepiej urządzone obóz.

Komisja sędziowska pod przewodnictwem pułk. Osmólskiego, dyrektora C. I. W. F., przy współpracy przedstawiciela P. U. W. F. i P. W., uznała za najlepszy wynik osiągnięty

przez maszerującą przez Pieminy i Gorce drużynę reprezentacyjną obozu „Beskid“ Polskiej Y. M. C. A. W skład jej wchodziło: Czerwiński, Koszarowski z Warszawy oraz Żuławski z Gorlic. Nagrodę Pana Ministra W. R. i O. P. dla najlepszego zespołu szkolnego otrzymali uczniowie gimn. państw. im. H. Sienkiewicza w Częstochowie. Nagrodę pana pułk. Kilińskiego, dyrektora P. U. W. F. i P. W. (puhar przechodni) dla najlepszej drużyny stowarzyszenia otrzymała drużyna harcerska przy gimn. w Klarysewie pod Warszawą; tej samej drużynie przyznano puchar Pol. Tow. Eugenicznego za najlepszy stan zdrowia w chwili przybycia na metę.

Nagrodę prof. Wittiga otrzymała drużyna harcerska z Nowego Sącza i medal srebrny Polskiej Y. M. C. A. Związek Strzelecki w Drohobyczu.

Z prawdziwą radością donosimy czytelnikom „Sternika“, że szczytując się zdobyciem w tej imprezie dwu pucharów drużyna harcerska z Klarysewa w składzie: Harry Kolbow, B. Kolbow i T. Wohlfarth za pośrednictwem naszego pisma dowiodła się o „Wędrówce Gwiaździstej“, a jej kierownika Harry'ego Kolbowa znacie niewątpliwie z „Kolumny Młodych Piór“.

Nie wątpimy, że i w roku przyszłym nie zabraknie naszych czytelników i prenumeratorów na starcie tej ogólnopolskiej imprezy młodych, na pokazie tężyzny, zdrowia i umiejętnego spędzania czasu.

Ze świata książek

WACŁAW BERENT. *Żywe kamienie.*

Zaledwie dwanaście lat upłynęło od czasu ukazania się „Żywych Kamieni“, a już zdołało niemal całe młode pokolenie zapomnieć o tej pięknej książce. Jest to bardzo charakterystyczny przykład, jak groźnie w dzisiejszem czytelnictwie rozpanoszyła się moda. Nagle zjawia się we wszystkich księgarniach jakaś książka z opaską „Nowość“ i jest formalnie rozchwytywana przez publiczność, aby znów za jakiś czas ustąpić miejsca innej jeszcze nowszej sprowadzonej z zachodu najczęściej, niestety, niezbyt wartościowej sensacji w rodzaju Decobry, lub Wallace'a. A skutek tego — piękne książki, które zaledwie parę lat temu potrafiły oczarować ogół dziś leżą sobie zakurzone w czytelniach i nikt prawie nie interesuje się nimi.

Chcę właśnie przypomnieć o jednej z takich książek autora tak przedziwnie niepopularnego, mimo ogromnej wartości artystycznej, że nawet nagroda literacka miasta Warszawy przyznana mu w 1929 roku nie zdołał zainteresować społeczeństwa jego dziełami.

Zaiste bardzo smutnym objawem jest to zapomnienie, którego ofiarą padł Wacław Berent jeden z najgłębszych i najszlachetniejszych prozaików naszej współczesnej literatury.

„Żywe kamienie“ jest to opowieść rybaka jak mówi pod tytuł, ale ten rybak — wędrowny artysta — to właśnie sam autor, który zawędrował myślą w odległą krajinę średniowiecza, aby tam wysłuchać opowieści o dziwnych, a pięknych dziejach, rycerzy, zakonników i żaków, opowieści, które zwierzyły mu żywe kamienie — rzeźby i pomniki grobowe średniowiecza.

Któż z nas nie marzył o pięknych czynach pana Lancelota? Kto bez drżenia mógł słuchać starych legend o rycarzach Okrągłego Stołu? A oto daje nam książka Berenta możliwość poznania tamtego życia. Jest realnym wcieleniem legend średniowiecza.

„Pomnę, inne dzwony były” — śpiewa wędrowny poeta w zaułku pod murami miejskimi średniowiecznego nieznanego miasta i wsłuchujemy się w te inne dzwony — odgłosy dawno zmarłego życia, które Berent wyłowić zdołał z mroków historii. I dziwimy się, że było w tym życiu tak prostem w porównaniu z życiem dzisiejszym, tyle ukrytego piękna, które dopiero wzrok wielkiego poety potrafił nam ukazać.

Bo przecież ten „mistrz żywych kamieni” — to właśnie Wacław Berent, który umiał ożywić przeszłość. Przeszłość, widzialną dla nas tylko w postaci „kamieni” — ruin i pomników grobowych. A on właśnie te kamienie ożywił. Wyczerował z nich ich dawno przebrzmiałe dzieje zamienił je w ich pierwowzory: rycerzy, zakonników, żaków i wędrownych rybaków i przedziwną mocą swego talentu ukazał nam ich życie — ukazał nam „żywe kamienie”.

TADEUSZ RITTNER. *Drzwi zamknięte.*

Koncepcja „Drzwi zamkniętych” polega na tem, że w całym życiu ludzkim spotykają się momenty będące jak gdyby odbiciem pewnych zdarzeń dzieciństwa. Prócz tego drzwi symbolizują nam pewne tajemnice, które z wiekiem poznajemy, aby znów spostrzec przed sobą nowe tajemnicze zjawiska, które z kolei będziemy się starali wyjaśnić sobie.

Styłem lekkim, pełnym wdzięcznych niedomówień i tajemniczości opisuje Rittner dzieje swego bohatera, który nigdy nie potrafił być poważny, bo, choć już był starszy ku ogólnemu zgorszeniu pisywał bajki.

Od pierwszego przeżycia dziecięcego, kiedy nasz bohater siedział w wieczór wigilijny w mrocznym pokoju, oczekując kiedy otworzą się drzwi wiodące do z utęsknieniem wyczekiwanej choinki, aż do chwili, kiedy umiera na pokładzie okrętu i kiedy wreszcie zdaje mu się, że otworzyły się tajemnicze drzwi, które przez ciąg całego życia widział przed sobą, ukazuje nam autor tę ni dostrzeganą tak często przez ludzi tajemniczość życia ludzkiego.

Mik.

Dział rozrywek umysłowych

Termin nadsyłania rozwiązań z tego numeru upływa w dn. 7 listopada b. r.

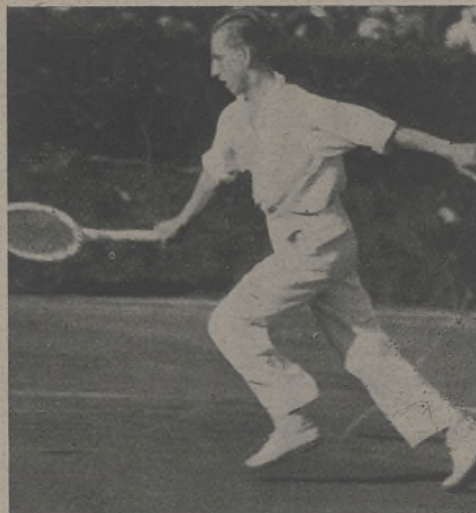
KONKURS „CZY WIESZ?”

Konkurs obejmuje wszystkie zadania w pięciu kolejnych numerach. Za rozwiązanie każdego zadania zalicza się pew-

na ilość punktów. Czytelnik, który osiągnie największą liczbę punktów dostanie w nagrodę jedną z książek Rudyarda Kiplinga.

Zadanie I.

Za rozwiązanie tego zadania — 2 punkty



Kto to?
i co o nim wiesz?

Zadanie II.

Należy odgadnąć jakich faktów historycznych dotyczą niżej podane 5 urywki z dzieł historycznych. Za odgadnięcie każdego urywka — po 1-y m punkcie.

1. „Wśród ogólnej ciszy wniesiono ze strony króla żądanie nowej prolongaty do poniedziałku. Powstała wrzawa, między posłami, odzywały się rozmaite głosy, wnoszono rozmaite propozycje; jedni przystawali, drudzy wołali, aby marszałek natychmiast zęgnął króla i kończył sejm. W tej wrzawie dał się słyszeć gromki głos jakiegoś posła, który senatorem i ministrów Katalinami i Klaudyuszami zowiąc, radę senatu na wygnanie wysyłał i wołał: „Ja nie pozwalam na prolongację!”

2. „Ruszyli przez drugą bramę do pałacu Dywanu, gdzie ich czekał w. wezyr z ośmioma wezyrami i starszyny nie mało. Tam zaraz trzy okrągłe stoły wniesiono. Siadł do pierwszego w. wezyr z posłem z Mustafą wezyrem i Amurat paszą, kapitanem morza. Sobieski z wojewodziec smoleńskim i sekretarzem legacji Miaskowskim usiedli z innymi panami tureckimi przy stole po prawej ręce”.

3. Otrzymawszy niewyraźne doniesienia, kazał gotować (pod Bratjanem) 12 mostów, a tymczasem armja nieprzyjacielska bez przeszkody odeszła do wsi Wysokiej (Hohendorf) pod Działdowem, wypoczęła przez jeden dzień, 15 lipca zdobyła Dąbrowno (Gilgenburg), miasto warowne”...

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 39-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 35-80, 35-83.